

Deszcz padał już od kilku tygodni i właściwie nie zanosiło się, żeby miał przestać. Niebo zasnuwane było grubą, jednolicie sinoszarą warstwą chmur. Terulian skulił się, usiłując schować się pod kaptur jeszcze głębiej, co w gruncie rzeczy było czynnością beznadziejną, bo stopy i tak grzęzły w szarym, lśniącym drobinkami miki błocie, a spodnie ociekały ściąganą ze źdźbeł trawy wodą.

- Podobno na zachodzie leje bardziej....- mruknął wlokący się za nim Filem, zupełnie jakby to zmieniało coś w ich sytuacji. Wlekli się kolejny dzień wzdłuż tego pasma gór, które nawet nie miało nazwy w żadnym ludzkim języku. Orkowym, owszem. Ale kto normalny mówiłby po orkowemu. W oddali przed nimi na poszarpanym łańcuchu górskim wyróżniał się płaski szczyt i przełęcz na północ od niego. Szczyt nie miał jeszcze nazwy. Ludzkiej.

Cała karawana tonęła w błocie. I gdzie niby teraz byli ci wszyscy wielcy przewidywacze przyszłości, pożałujcie Bogowie jasnowidze, czy tak trudno było przewidzieć, że tyle miesięcy będzie lać...?? Chociaż w sumie, jak sobie przypominał gorzko Terulian, właściwie to różni natchnieni trąbili o tym dłuższy czas, ale kto by słuchał jasnowidzów. Taaa, trąbili o wielkim deszczu i potopie... E, no ciutek przesadzili...

- Staaaaac! – ktoś na przedzie karawany rozdarł się niemiłosiernie, wrywając Teruliana z malkontenckich rozmyślań. Podniósł głowę... i natychmiast ją opuścił, oślepiiony niesłychanie białym światłem, które rozbłysło z przodu, płosząc dwa pierwsze muły. Zwierzęta pomknęły przed siebie z dzikim wizgiem, obalając prowadzących je ludzi i powodując zamieszanie. Zanim ci się podnieśli, Terulian zdążył dojrzeć postaci ludzkie, wychodzące ze świetlistej obręczy. Przetarł oczy, ale nadal tam byli. Ludzie w powłóczystych szatach. Rozległ się huk, zadudniło tak, że przez chwilę Terulian zanotował w mózgu idiotyczną myśl "trzęsienie ziemi!". Zmitygował się natychmiast, przypomniawszy sobie mapę. "Wulkan, tak, ale wygasły! Dawno!". Ale ziemia się zatrzęsała. Oślepiające światło zgasło, ukazując ich oczom sporą dziurę wyrwaną w skalistym podłożu. Wyglądała jakby nieznana siła z rozmachem wbiła się w grunt i utkwiała dobrych kilka metrów pod jego powierzchnią, w stoku góry. Żadnych obcych ludzi tam nie było.

- Co to było, na wszystkich bogów Szeolu!!!!- rozdarł się jeden z obalonych w błoto. Jego wrzask przebił się przez jazgot pozostałych tragarzy, kwik mułów, przekleństwa poganiaczy i huk piorunów. Tym razem najzwyczajniejszych na świecie. Terulian nie zwracał uwagi na dziejące się wokół sceny. Trwał nieruchomo, jak zaczarowany, postanawiając, że nigdy nie zapomni tego obrazu. Obrazu ludzi wychodzących ze świetlistej obręczy.

Było lato – w każdym razie teoretycznie – roku 675 od założenia Messyny, pierwszego ludzkiego miasta na tych ziemiach, rok 525 przed początkiem wędrówki, nazwanej później Wielką Ekspansją.

\* \* \*

Deszcz padał od rana. Nareszcie, sucha, spękana ziemia chciwie pochłaniała wilgoć, sycząc i parując. Powietrze było przesycone ciepłem. Marbot westchnął i odkleił mokrą koszulę od spoconych pleców, nie siląc się na zastanawianie, czy mokra była od deszczu czy od potu. Dobrze, że wreszcie pada, pomyślał. Zieleń odżyje, zwierzyzna się rozmnoży. Jemu, zawodowemu traperowi, wielkość tegorocznego wykotu spędzała sen z powiek, bezpośrednio od tego zależała ilość marnych miedziaków, za które w odległej Birce sprzedawa upolowane w tym sezonie skóry.

Popatrzył na łańcuch górski przed nim, który nawet nie miał nazwy w żadnym przyzwoitym ludzkim języku. Orkowym, owszem. Ale kto normalny mówiłby po orkowemu. Niedaleko przed nim na poszarpanym łańcuchu górskim wyróżniał się płaski szczyt i przełęcz na północ od niego. Szczyt nie miał jeszcze nazwy. Ludzkiej.

Był tu sam. Na przestrzeni długich mil w każdym kierunku był tu jedynym człowiekiem. Niepowtarzalne uczucie.

Marbot westchnął raz jeszcze ciężko i otarł pot z czoła.

I znieruchomiał z ręką przyklejoną do czoła.

Nie, to na pewno ten upał. I wilgoć. I zmęczenie.... Nie, to na pewno tylko złudzenie. Albo gobliny... Albo...

Nie.

Gobliny, jak świat światem, nigdy nie posługiwały się ...dzwonami.

A tu, wzdłuż górskiej doliny, prosto od płaskiego szczytu, niosła się czysta, śpiewna melodia spiżowego dzwonu.

Marbot otrząsnął się. Rozejrzał się płochliwie wokół, ale zeschnięta zieleń przedgórza nadal wyglądała dokładnie tak samo dziko, jak przed chwilą. Widmo, czy co....? Ruszył do przodu, ale dźwięk jakby ścichł. Zrobił krok w tył i usiadł. Dźwięk zaatakował jego uszy ze zdwojoną siłą. Usiłował wstać, ale w rezultacie wyłożył się jak długi na leśnej ścieżce... i zbaraniał. Bo przy ziemi dźwięk brzmiał wyraźniej, jakby właśnie spod niej się dobywał. Dla pewności Marbot położył się na ziemi i słuchał kilka chwil. Gdy już owej pewności nabrał, wstał szybko i pewnie, tak szybko, jak tylko paniczny strach jest w stanie spowodować, poprawił przewieszony przez plecy łuk i truchtem puścił się w dół zbocza, ku odległej o dwa dni marszu faktorii.

Było lato roku 450 wg nowego kalendarza Ofiru, liczonego od początku wielkiej wędrówki ludów, nazwanej niegdyś Wielką Ekspansją.

\* \* \*

Deszcz padał od godziny. Adalia z Silberbergu oparła skroń o drewnianą framugę okiennicy. Teraz, kiedy wszyscy wyszli, mogła wreszcie sama przed sobą okazać zmęczenie, zniechęcenie, po prostu słabość.

Armia Wergundów, dowodzona przez Lwa Południa, księcia Elmeryka, stanęła u granic królestwa Tryntu. Księżna Rangveig w panice zbierała najemników. Była z Tradamonitów, kto jak kto, ale władcy z tego rodu nie złożą hołdu Wergundom, nie dołączą do ich wspaniałego imperium. Żywi. Tymczasem Trynt zażądał włączenia miasta w granice, zażądał fortyfikacji i obrony przed Wergundami. Wergundowie, tajnymi kanałami, przesłali krótką informację – jeśli miasto stawi opór, zostanie zniszczone. Do ostatniego mieszkańca. Adalia wiedziała, że Wergundowie nie żartują. Jednocześnie oddział z północnego okopu, który zaginął, został dziś znaleziony. Gobliny. Albo orki. W zemście za udzielone ostatnio krasnoludzkim górnikom schronienie. Trynt zażądał zamknięcia Przełęczy, co poparł umieszczeniem tutaj niewielkiego oddziału wojów. Księstwo Samnijskie zażądało otwarcia Przełęczy, co poparło wzmożonymi atakami na ten rejon lotnych oddziałków swoich łuczników. W innych okolicznościach przejęłaby się jeszcze tajemniczymi zniknięciami na zachodnich peryferiach. Ale teraz, kiedy niespodziewanie znaleźli się między młotem, kowadłem, a

beczką z gnojówką.... Wszystkie nieszczęścia na raz. Nagle jej piękne, górskie miasteczko znalazło się w miejscu przecięcia linii konfliktów największych potęg tego świata. Adalia westchnęła.

Na niej spoczywała odpowiedzialność. Na niej właśnie, odziedziczona po mamie i dziadku, którzy zakładali to miasto, którzy hardością ducha i odciskami na dłoniach wydarli to miejsce dziczy, przyrodzie i goblinom. Którzy uporem i dzielnością wymogli na władczyniach Tryntu lokację i prawa dla Wolnego Miasta Silberberg. Po nich, tych wielkich ludziach, ona, Adalia z rodu z Lettenhove, a dziś Pani Miasta Silberberg, ona właśnie była odpowiedzialna za mieszkańców.

Popatrzyła na łańcuch górski przed nią, który już od kilku stuleci miał nazwę w ludzkim języku. Góry Silber. W orkowym nazywał się inaczej. Ale kto normalny mówiłby po orkowemu. Ponad nią na poszarpanym łańcuchu górskim wyróżniał się płaski szczyt i przełęcz na północ od niego. Jej ukochana góra. Jej ukochana przełęcz. Silberberg.

Było lato, roku 832 wg kalendarza Ofiru.....